

TRYLOGIA POMORSKA

KRZYSZTOF A.
ZAJAS

SKOWYT NOBLEY



MARGINESY



*Pamięci mojego brata Janusza. Niecierpliwie czekał na tę książkę
i mam nadzieję, że jakoś ją Tam przeczyta.*

PROLOG

Zabij mnie szybko

Woda jeziora była matowa i zielona. Unosiły się w niej drobinki, jakie można zobaczyć na dnie długo nieczyszczonego akwarium. Miał kiedyś akwarium, gdy mieszkał jeszcze z rodzicami w Nowej Hucie – kochanej, małej i brzydkiej krainie, odległej teraz o całe lata świetlne. Z jego piersi wyrwał się krótki jęk, a ciało opadło i zawisło na przykutych do ściany ramionach. Niewiele sił mu zostało, zaledwie tyle, by nie zemdleć. Ręce ścierpły, więc spróbował zmienić pozycję. Daremnie.

Kała jest szaleńcem. Zamknął go w podziemnym bunkrze, ciężką sztabą zaryglował żelazne drzwi i jakby tego było mało, jeszcze przypiął kajdankami do ściany. Kompletny wariat. Takiego najtrudniej rozgryźć. Co dla Lucka oznaczało dodatkowe pogorszenie i tak już beznadziejnej sytuacji. Beznadziejnej? Bałyś, bądź ze sobą szczery – nie żyjesz.

Jedyny podłużny iluminator bunkra wychodził na zbiornik wodny. W jego mętным oku zamigotał właśnie srebrny błysk. Zwinną rybką pacnęła pyszczkiem w szybę, zakręciła się w kółko i zniknęła. Zobaczyła trupa i uciekła, pomyślał ponuro Lucek. Na jej miejscu zrobiłby to samo. Musiał wyglądać okropnie z rozkrzyżowanymi rękami, obwisłą głową, pokrytą plamami zakrzepłej krwi i nagim, posiniaczonym torsem, na którym Kała znaczył kolejne stacje swej zemsty.

Skąd się tu wziął? Jakie złośliwe i nieprzejednane w okrucieństwie licho przywiodło go aż tutaj, do wilgotnych podziemi obcego Pomorza, gdzie umrze tak absurdalnie i niepotrzebnie, jak tylko

można sobie wyobrazić? I właściwie za co? Za nieswoje grzechy sprzed lat, już dawno zapomniane przez sprawcę i ofiarę? Tylko ześwirowany Stryjaszek Samo Zło wciąż pamięta i bierze spóźniony, ale za to całkowicie paranoiadny odwet. Gdzie sens, gdzie logika?

Przypomniał sobie swoje wyczyny sprzed trzech tygodni i jego zdecydowane przekonanie trafił szlag. Nie, Bałyś, nie ma ludzi niewinnych i bezgrzesznych, są tylko tacy, którzy swoich grzechów nie widzą.

Za oknem, dostojnie rozkołysany, przepłynął długi patyk, powoli kręcąc się wokół własnej osi jak rożen do pieczenia barana. Bałyś, sam jesteś baranim rożnem. Ki diabeł cię podkusił, żeby w pojedynkę rzucać się z gołymi pięściami na uzbrojoną po zęby słupską mafię ze stojącym na czele maniakiem historycznych rekonstrukcji, organizowanych w scenerii poniemieckich bunkrów? Równie dobrze mogłeś podnieść klapę w ogródku i na prostych nogach wskoczyć do szamba. Tak byłoby nawet lepiej. Szybciej. I metafora bardziej plastyczna. Podobno w szambie najpierw traci się przytomność z braku tlenu, a dopiero później się tonie. To nie tak źle. Tak źle i tak niedobrze... Niedobrze mi... Dobrze mi tak... Tak mi źle...

Na chwilę odjechał. Nagle, ni stąd, ni zowąd, poczuł zapach włosów Dominiki, jej ulubionego szamponu o niemożliwej do zapamiętania francuskiej nazwie, brzoskwiniowej skóry na karku, płynu do zmiękczenia tkanin, w którym uprała rozpiętą bluzkę... Przełknął ślinę. Nie, żadne szambo. Ratuj się. Trzy razy wciągnął głęboko powietrze, licząc na ulgę, która nie nadeszła. Zapach nasilał się, coraz bardziej chemiczny i nieprzyjemny, aż do szczypania w nosie. Bałyś kichnął i wtedy odzyskał wzrok. Dominika tu była. Na jego kichnięcie odwróciła się, ukazując wykrzywioną z wściekłości twarz. Spróbował się zasłonić, ale nie miał jak, i poczuł piekący ból policzka. Uderzyła ponownie, i jeszcze raz. Chciał na nią spojrzeć, jednak nie mógł. Jego oczy były jakby zaklejone. Nie, nie odzyskał wzroku, to tylko drobna modyfikacja nieprzytomności.

Plask! Czwarty raz.

– Hej, żołnierzu! Pobudka!

Uniósł żelazne pokrywy powiek i przeszył go bolesny dreszcz. Jednak nie Dominika, tylko szambo. A ściślej rzecz biorąc, Kała z szamba. Czy ten facet dawał sobie sprawę z brutalnej szczerości swego nazwiska?

– Nie śpij, bo przegapisz wyzwolenie!

Nie wiadomo, czy Artura Kałę bardziej ucieszył dowcipny bon mot czy widok zwisającego ze ściany podkomisarza Lucjana Bałysia, dość powiedzieć, że zaniósł się syty, szczerym śmiechem i pomieszczenie wypełnił astmatyczny charkot. Lucek znowu zamknął oczy.

– Nie bądź dzieckiem – powiedział Kała, gdy minęło mu rozbawienie wracającego z zaświatów suchotnika. – Nie znikniesz dlatego, że zamkniesz oczy, nie ma tak dobrze. Chcę, żebyś – przybliżył twarz do twarzy Lucka – to widział.

– Co?

– Jego śmierć – odparł Kała.

Lucek skrzywił się od nieświeżego oddechu swojego oprawcy. Szambo.

Nie pomyślał o tym. W ogóle miał trudności z myśleniem. Niełatwo nie mieć trudności z myśleniem, gdy ma się trudności z oddychaniem i krążeniem. Nieważne. Pojął, że Kała nie chce go zabić, przynajmniej nie od razu, tylko trzyma na przynętę dla Krzyckiego. Lucek już raz odgrywał tę rolę, niedawno, w ciasnym pomieszczeniu innego bunkra, tuż nad morzem. Wiedział to, bo podczas wysiadania z samochodu Kały szybko zaczerpnęła świeżego morskiego powietrza. Kiedy to było? Na podstawie ciemnienia i jaśnienia wody za iluminatorem liczył mijające dni i wychodziło mu, że dwa tygodnie temu. Dwanaście dni tutaj plus dwa na przejazd i postój w opuszczonej szopie pośrodku wielkiego pola. Niestety, nie znał tych terenów i nie miał pojęcia, co to za miejsce. Gdyby posłuchał Dominiki, która radziła mu poczytać trochę

o historii Pomorza... Kała zastawił wtedy skomplikowaną pułapkę na Krzyckiego, ale plan się nie powiódł, dlatego przetransportował swoją przynętę do kolejnej poniemieckiej dziury i przyrządził zgodnie z najlepszymi wzorami mrocznej sensacji, inspirowanej tematyką biblijną. Te rozkrzyżowane ramiona na ścianie...

W przeciwieństwie do Kały wcale nie był taki pewien, że Andrzej Krzycki natychmiast przybędzie na pomoc. Nie zdziwiłby się, gdyby nie przybył w ogóle. Ich ostatnia rozmowa przebiegła, delikatnie rzecz ujmując, według nie najsympatyczniejszych parametrów, i to głównie z powodu Lucka. Wściekł się na Andrzeja za... za... No właśnie. Nie umiał nawet rozstrzygnąć, czy wściekł się za coś czy za nic. Obie wersje brzmiały równie wiarygodnie. Gdyby miał więcej czasu i sprawdził jeszcze...

Znów policzek. Kała chciał być słuchany.

– Słuchaj, Lucek... Mogę tak do ciebie mówić? Lucek?

– Nie.

– Słuchaj, Lucek, w łowieniu na żywca, jak sama nazwa wskazuje, przynęta musi być żywa. A ty wyglądasz naprawdę okropnie! – powiedział tonem kogoś, kto nie ma pojęcia, dlaczego Bałyś wygląda okropnie. – Postanowiłem nieco ulżyć twoim cierpieniom i pozwolić ci w nocy spać na leżąco. Co ty na to? Wspaniale, prawda?

Dotychczas Bałyś spał na wisząco, opierając się plecami o ścianę.

– Peesgie... – wymamrotał półgłosem.

Kała teatralnie nadstawił ucha.

– Co to znaczy, żołnierzyku?

– Pierdol się, gliniarzu. Ulubione powiedzon...

Plask! I jeszcze raz.

– Wiesz, Lucuś, masz taką gładką twarzyczkę. Aż przyjemnie w nią walić. Jakbym macał cycuszki dziewczycy. Ty pedzio jesteś, co nie?

Pokój wypełnił rechot. Kała trafił w czuły punkt Bałyśia, który bardziej niż od fizycznych uderzeń cierpiał z powodu delikatnego,

nieleddie dziewczęcego wyglądu. Natura obdarzyła go szczupłą budową ciała i pogodnym usposobieniem, uzupełniając obraz wydatnymi ustami i blond fryzurą z malowniczym loczkiem na czole, więc większość krótkiego życia Lucka zesłała mu na udowodnianiu, że nie jest tym, na kogo wygląda. Czyli zniewieściałym chuchrem. Począwszy od maniakalnie uprawianych sztuk walki, przez ukończoną szkołę policyjną, po brawurowe i przekraczające wszelkie granice poczucie humoru – podkomisarz Lucjan Bałyś zwalczał panięński image na wszelkie sposoby. Ostatnio posunął się nawet do ogolenia głowy, porosłej teraz trzytygodniową szczecinką. Posunął się także do zdrady... Jak wnioskował ze swego aktualnego położenia, los postanowił nie zwlekać z wymierzeniem adekwatnej i natychmiastowej kary. To twoje brzemię, Bałyś, i masz je dźwigać, a nie robić sobie jaja...

– Wiem, bolesne – ciągnął Kała, gadając w zasadzie do siebie. – Przyjaźń jest taka piękna i głupio przez nią umierać. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Bo widzisz, Bałyś, ja z powodu tamtej historii dawno już umarłem, tak dawno, że nawet nie pamiętam, czy w ogóle żyłem. I pewnie zapomniałbym o niej, dokładnie tak samo, jak o niej zapomniał Andrzej Krzycki, któremu wydawało się, że wystarczy uciec na drugi koniec Polski i nie pokazywać mi się więcej na oczy, a będzie po sprawie. Zapomniałbym, gdyby nie śmierć Lidki. Wiesz, jak jest z prawdziwą miłością do kobiety, żołnierzyku? Nie wiesz, bo jesteś pedzio. Taka miłość to najważniejsza sprawa na świecie, jedyna naprawdę ważna, i jeśli ktoś na nią napluje, nic już potem nie jest takie samo. Z nas trzech... – zakreślił w powietrzu wymowny trójkąt – ja jeden przeżyłem coś takiego, dlatego wiem, co robię. A ty, karateko od siedmiu boleści, wiesz? Wiesz?

Przykuty do ściany i wyczerpany dwutygodniową poniewierką Bałyś nie mógł zrobić tego, o czym marzył: kopnąć z półobrotu w tę rozgadana i cuchnącą gębę. Teraz jednak Kała zbliżył się na odległość ciosu głową i Lucek już naprężył kark... Ale zrezygnował.

W psychotycznej mowie jego oprawcy tkwiło ziarno prawdy. Jeśli prawdą była choć połowa powtarzanych przy każdych odwiedzinach historii, Andrzej Krzycki przed laty naprawdę go skrzywdził. I to w formie na tyle podłej, że Kała miał prawo się mścić. W jakimś sensie nawet miał prawo mścić się też na nim – jedynym przyjacielem Krzyckiego. Tu jednak pojawiało się diaboliczne dla obolałej głowy Lucka pytanie o wartość tej przyjaźni. Czy mógł być jej pewien? Czy znał Andrzeja tak dobrze, jak mu się wydawało? Wolał nie roztrząsać teraz wszystkich możliwych scenariuszy, wystarczyło, że sprowadzały się one do jednego zasadniczego pytania: przyjdzie czy nie?

– Zastanawiasz się, czy przyjdzie, co? – spytał nagle Kała. Lucka zdumiała jego przenikliwość. – Bądź spokojny, przyjdzie. A gdyby przypadkiem nie przyszedł..

Człowiek o nieświeżym oddechu zawiesił głos, zostawiając skutemu Bałysiowi miejsce na łatwy domysł. Ten jednak od dywagacji wolał rzeczywistość, która potrafi czasem przyjąć najbardziej nieoczekiwane formy. W tej chwili na przykład przedzierzgnęła się w poezję metaforyczną i niejako w imieniu Lucka snuła domysły i aluzje. Artur Kała mówił, podkomisarz Bałys nie słuchał, a za okrągłym okienkiem iluminatora jak w teatrze przepływały coraz większe przedmioty. Z tamtego, normalnego świata dochodziły głuche pomruki. Po jednym z nich, szczególnie potężnym, woda wyraźnie zmętniała. Burza. Piorun uderzył w zbiornik wodny. Poruszył osad denną i wznicił drugą burzę, podwodną. Widoczność za szybą zmalała do kilkudziesięciu centymetrów.

I właśnie w tej zmętniałej wodzie rozpoczął się spektakl. Najpierw za iluminatorem przepłynął kawałek kości miednicowej, niewątpliwie ludzkiej. Ledwie zniknął za półkolem nitów po lewej, z prawej wyłonił się następny. Tym razem był to cały piszczel, który na środku okienka zakręcił się wokół własnej osi, po czym z wdziękiem stuknął o szybę. Kiedy Lucek mrugał opuchniętymi powiekami, by wyostrzyć wzrok i rozwiązać okropną marę, piszczel

odpłynął na lewo, a z przeciwległej strony pojawił się kolejny. Ten dla odmiany wirował pionowo jak... jak... jak skrzydła wiatraka. Kała wciąż gadał, stojąc twarzą do niego i tyłem do okna, nie mógł więc widzieć tego niesamowitego przedstawienia. Lucek z zafascynowaniem patrzył. Drugi piszczel zniknął i woda nieco się uspokoiła. Czyżby? Już koniec? A co z najważniejszym?

Przypłynęła. Brązowa i owiana mgiełką mułu, z którego wytoczyła się po uderzeniu pioruna. Obracała się powoli, z dostojęństwem zaprawdę godnym majestatu śmierci, jakby nieboszyk chciał sobie dokładnie obejrzeć nowe otoczenie, w jakie pchnęła go podwodna burza. Z czarnych oczodołów sączyły się smugi burej zawiesiny, malując na wyszczerzonej twarzy wyraz upiornej rozkoszy. Luckiem wstrząsnął dreszcz. Gładki czerep czaszki machinalnie zrymował z własną łysiną i zrobiło mu się niedobrze. Mimo to patrzył w iluminator jak zahipnotyzowany.

– Co się tak trzęsiesz? Będiesz tu teraz srał ze strachu?

Czaszka odbiła się od szyby i wywracając oczodołami, łypnęła na niego z uśmiechem – szyderczym? Ale dlaczego? Dlatego, że ona już wie. Przyjdzie? Nie przyjdzie? Przełknął ślinę. Kała wreszcie się zorientował, że coś dzieje się za jego plecami. Dokładnie w momencie, kiedy się odwracał, czaszka, energicznie pchnięta od tyłu nowym prądem, pochyliła się w dół, a potem uniosła w górę. Skinęła?

Kała musiał podobnie odczytać komunikat z zaświatów, ponieważ się zdenerwował.

– Co się tak gapisz? Stary cmentarz niemiecki. Tu wszędzie pełno kości.

Bezskutecznie usiłował zagadać to, co i do niego właśnie dotarło. Podszedł do okna i uderzył pięścią w szybę, a czaszka skinęła ponownie, po czym szczerząc brązowe zęby, wypuściła kłęb mułu wprost w pobladłe oblicze Kały.

Ten krzyknął.

– Co to, kurwa, ma być?!

Odwrócił się i jego wściekły wzrok zawisł na pewnej sobie, niewzruszonej i niewątpliwie żywej twarzy Lucka Bałysia.

– Zabij mnie szybko – powiedział więzień. – Żebyś zdążył.

Trwał nieruchomo, dopóki czaszka nie odpłynęła w ciemną podwodną czeluść.

Plask!

I

Milczenie

1

– Andrzej, obudź się, słyszysz? Obuuudź sięęę!

Szarpała mocniej i mocniej. Dopiero kiedy płyn w stojącej obok kroplówce niebezpiecznie zachlupotał, przestała. Pacjent jakby na to właśnie czekał. Otworzył oczy. Ścisnęła go za rękę.

– Jesteś, nareszcie. Widzisz mnie?

Odwzajemnił uścisk i Dorota odetchnęła z ulgą. Od tygodnia, kiedy to przywieźli go na OIOM zatrutego oparami cyjanowodoru i prawie nieprzytomnego, z Andrzejem niemal nie było kontaktu. Na całe godziny zapadał w niespokojny, pełen szamotaniny i jęków sen, z którego nie tyle budził się, ile przechodził w stan półjawy, z oczami wbitymi w sufit i milczącymi, zbiełałymi ustami. Nachylała się, próbując napotkać jego wzrok, nie miała jednak pewności, że ją widzi. W ostrych i błyszczących źrenicach dostrzegała tamtego bystrego Andrzeja Krzyckiego, ale na żadne z jej pytań nie odpowiedział, nie zamrugał nawet, tylko patrzył nieruchomo jak lalka. Inteligentna lalka. Inteligentna i nieobecna. Dlatego tak bardzo ucieszył ją ten odwzajemniony uścisk.

– Andrzej, widzisz mnie? Jeśli tak, mrugnij dwa razy. DWA RAZY!

Pokazała palce ułożone w V, aby mu przypomnieć, ile to jest dwa. Widział i słyszał, czuła to, niepokoiło ją co innego. Przez trzy lata wspólnego życia zdążyła poznać go od różnych stron, także od tej zawziętej i nieustępliwej, ulokowanej w ciasnej komórce na

zaplaczu życia. Potrafił zamykać się w niej na całe dni i tygodnie. Tu uśmiech, układność i mechaniczne wypełnianie codziennych obowiązków, a tam mrok. Na początku nawet jej to schlebiało. Też miała swoją ciemną stronę i tłumaczyła sobie, że to ich właśnie łączy, bardziej nawet niż tak zwana miłość. Ostatnimi czasy jednak przeczuwała w Andrzeju zmiany. Odnajdywała w nim jakby... emocjonalne przesunięcia wykraczające poza ich małą, prywatną wspólnotę mroku. Może dlatego tak zależało jej na ponownym nawiązaniu z nim kontaktu, tu, w szpitalnej izolatce, w której od tygodnia próbował dojść do siebie. Pośród różnych informacji i komentarzy, jakimi zasypywano ją od pierwszego dnia hospitalizacji, zapamiętała zwłaszcza uwagę wygłoszoną przez sympatycznego lekarza: „Gdyby przepychał się przez ten tunel pięć minut dłużej, już by nie żył”.

Andrzej został zamknięty przez gangstera w schronie pod ziemią i potraktowany cyklonem B ze starej niemieckiej puszki. Facet miał fioła na punkcie rekonstrukcji historycznych i zainscenizował sytuację rodem ze starego filmu wojennego, wykorzystując jeden z podziemnych bunkrów niedaleko Kołobrzegu, a w rolach głównych wystąpili inspektor Andrzej Krzycki jako rychły denat oraz rzeczony cyjanowodór jako sprawca. Jej mąż zdołał wydostać się z bunkra przez wąski tunel wentylacyjny i wszyscy – oprócz najszczerzego współczucia – równie szczerze zachodzili w głowę, jakim cudem mu się to udało. Sam bohater dotychczas nie zabrał głosu w tej sprawie. W ogóle nie zabrał głosu na żaden temat. Milczał jak...

Nie, lepiej tego nie mówić.

– Andrzej, słyszysz mnie?

Nie umiała się w tym wszystkim zorientować. Sympatyczny lekarz kilka dni wcześniej uświadomił jej, że skutek tego typu zatrucia może dojść do częściowego paraliżu narządów mowy, których funkcjonowanie uzależnione jest przecież od oddychania, a to układ oddechowy w pierwszej kolejności ulega uszkodzeniu. Uświadomił jej także parę innych rzeczy.

– Widzi pani – powiedział miękkiem głosem, sadzając ją w fotelu swego dyrektorskiego gabinetu. – Zatrucie cyjanowodorem, mówiąc w największym uproszczeniu, upośledza lub też całkowicie blokuje dostarczanie tlenu do organizmu. Co oznacza, że szkody mogą pojawić się wszędzie, zwykle jednak występują najpierw tam, gdzie mamy największe skupiska wrażliwych komórek nerwowych. Czyli w mózgu. Mózg kieruje całym ciałem i u jednego pacjenta dochodzi na przykład do paraliżu kończyn, u innego do poważnych zaburzeń gastrycznych lub oddechowych, u jeszcze innego do blokady poszczególnych zmysłów. Nie wiemy dokładnie, co u pani męża zostało uszkodzone wskutek działania trucizny, ale mogło to być praktycznie wszystko. Zatem zdolność widzenia, słyszenia i mówienia również...

Nazywał się Kazimierz Brodecki i był koordynatorem Specjalistycznego Oddziału Ratunkowego ślupskiego szpitala, w którym Krzycki leżał od tygodnia i z którego miał być przeniesiony na oddział neurologiczny, gdy tylko mu się poprawi. No ale nie bardzo się poprawiało. Patrząc na sympatycznego lekarza w średnim wieku, Dorota życzyła sobie w duchu, aby Andrzeja przenieśli jak najpóźniej.

– To znaczy, panie doktorze – starała się mówić równie miękko – że mój mąż nie widzi i nie słyszy naprawdę? I dlatego nie mówi?

– Nie wiemy tego na pewno – zaoponował. – Powiedziałem tylko, że to całkiem możliwe. Szczerze mówiąc, tu wszystko jest możliwe.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Rodzina chorego chce w szpitalu słyszeć od lekarza uwagi albo optymistyczne, albo przynajmniej precyzyjne. „Teraz jest moment przełomowy, ale za trzy dni powinno już być lepiej, ponieważ organizm chorego musi zareagować na podane leki, prosimy o cierpliwość, wszystko idzie w dobrym kierunku” i tak dalej, i tak dalej. Oni chyba nawet specjalnie uczą się takiej medycznej retoryki pocieszania. Lekarz

zajmujący się Andrzejem nie widział potrzeby owijania w bawełnę i skoro czegoś nie wiedział, po prostu o tym informował. Może dlatego mu ufała.

– Niech mi pan powie – prosiła, patrząc mu prosto w oczy – czy on w ogóle kontaktuje? Przecież macie różne sposoby na sprawdzenie takich rzeczy...

Lekarz spojrzął za okno, a ona bezwiednie powędrowała tam wzrokiem. Przesilenie wakacyjne. Sierpień to jeszcze urlopy, nad Bałtykiem wciąż tłumy, choć pogoda nie rozpieszcza, jak mówią pogodynki w telewizji. Wiał zimny wiatr. Po niebie ciągnęły tabuny szaroburych mastodontów, tratując bezlitośnie słoneczne dni, których zaledwie drobne skrawki ukazywały się tuż nad morskim horyzontem w błyskach krwawego rytuału zachodu. Takie lato trudno nazwać rekreacyjnym. Tylko pomorskie wiatraki sprawiały wrażenie zadowolonych. Ochoczo miały zimne i mokre powietrze, jakby to z niego miał być wypiekany chleb do nakarmienia rzeszy osowiałych wczasowiczów.

– Skoro pani pyta o badania – zaczął, odwracając się do niej – zmuszony jestem i tutaj przyznać się do bezradności. Biorąc pod uwagę wyłącznie same wyniki badań neurologicznych oraz psychomotorycznych, wszystko jest w porządku. Teoretycznie reakcje są prawidłowe. Końcówki nerwowe jego zmysłów reagują odpowiednio, źrenice również – krótko mówiąc, pani mąż powinien widzieć i słyszeć normalnie. Jednak podkreślam: teoretycznie. W praktyce mogą działać dodatkowe czynniki, których na tym etapie jeszcze nie jesteśmy w stanie wykryć, a które mogą zakłócać normalne funkcjonowanie organizmu pana inspektora.

– Ale on już był przytomny! – prawie krzyknęła. – Słyszał, mówił, sama z nim rozmawiałam! Dlaczego teraz, po tygodniu leczenia, jest gorzej? Czy on jest w stanie śpiączki farmakologicznej?

Doktor Brodecki wstał, obszedł biurko i przysiadł na sąsiednim fotelu obok Doroty. Zmiana ta umożliwiła mu życzliwe poklepanie jej po wierzchu dłoni, bladej i martwej jak ryba na piasku.

– Pani Krzycka – ciągnął aksamitnym głosem. Jednak retoryka pocieszania. – Zapewniam panią, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Wiem, jak to brzmi, proszę mnie jednak nie posądzać o złą wolę czy wykręty. Jeśli czegoś nie rozumiem, mówię wprost. Dlatego zaraz na wstępie wspomniałem o różnicy między teoretycznymi wynikami badań a stanem faktycznym. Odzyskał przytomność, widział, słyszał, mówił, a teraz nie słyszy i nie mówi. Natomiast mówią wyniki, tyle że co innego. Nie jest w stanie śpiączki farmakologicznej ani patologicznej. Przyjmuje półpłynne pokarmy, łyka normalnie. Powinien być przytomny, a wygląda, jakby nie był. Do tego afazja ruchowo-czuciowa. Basta. Uczciwiej już nie mogę.

– Nie noszę nazwiska męża – sprostowała chłodno. – Nazywam się Dorota Rachwalska.

– Najmocniej przepraszam. Ja jestem...

– Wiem, kim pan jest.

Ponieważ zrobiło się niezręcznie, usiłowała załagodzić swoją szorstkość. Co, jak wiadomo, zwykle jeszcze pogarsza sytuację.

– Właściwie powinnam wrócić do nazwiska panieńskiego. Mój pierwszy mąż... mojego pierwszego męża... Nieważne – zachnęła się, czując, że brnie. – Proszę mi powiedzieć, kiedy to się zmieni? Kiedy mój mąż, to znaczy obecny mąż odzyska przytomność? – Opadła bezsilnie na fotel. – Co mogę dla niego zrobić?

Sympatyczny lekarz sięgnął po pudełko z chusteczkami i uczynnie je podsunął, z czego Dorota wywnioskowała, że pociekły jej łzy. W ogóle ich nie czuła. Przyciskając chusteczkę do policzka, drugą ręką zaczęła grzebać w torebce, podczas gdy mężczyzna wstał, ponownie obszedł biurko i z szuflady wyjął prostokątną ramkę z podpórką, po czym ustawił na blacie.

– Proszę. – Z uśmiechem wskazał dłonią lusterko w skórzanej oprawie.

– Wyposażenie służbowe na potrzeby zapłakanych wdów i sierot? – spytała cierpko.

– Nie służbowe, prywatne – wyjaśnił. Jego łagodny głos działał jak indyjski aromat relaksujący. – Pomysł podsunęła mi żona, błagając mnie kilka lat temu tu, w tym samym gabinecie, byśmy wyjechali na drugi koniec Polski, ponieważ nie zniesie dłużej życia „w tej przeklętej dziurze”, jak raczyła się wyrazić. Zaraz potem zbeształa mnie za brak lusterka, ponieważ właśnie się rozplakała i tusz jej się rozmażał. Czym prędzej kupiłem i tak już zostało.

– Państwo też zostali – zauważyła Dorota. Była zdołowana, ale chciała dalej rozmawiać. Ten człowiek był szamanem relaksu. – Postawił pan na swoim.

– Tak – potwierdził doktor Brodecki tonem kogoś, kto podjął ważną decyzję i nie przewiduje już żadnych ciekawostek. Poza paroma zgonami na SOR-ze. Przemknęło jej przez głowę, że ten pocziwina próbuje ją podnieść na duchu optymizmem, którego sam ma jak na lekarstwo.

– Na południu też są „przeklęte dziury” – zapewniła, pocieszając go niczym rozbitek rozbitka. – Tu przynajmniej macie zdrowe, morskie powietrze.

– O tak – przytaknął z nowym ożywieniem. – Bardzo zdrowe! Najlepszym przykładem pani mąż...

Urwał i zerknął na nią z obawą, niepewny reakcji na ten ryzykowny żart. Przez kilka sekund słuchali szumu wiatru w gałęziach kasztana za oknem, po czym oboje się roześmiali.

– Prawdę powiedziawszy, nie umiem pani niczego poradzić – powiedział, kiedy już nacieszyli się chwilowym odprężeniem. – Po prostu dlatego, że nie mam takiej rady. Obiecuję, że będziemy go nadal stymulować i rehabilitować zgodnie z najlepszą naszą wiedzą i możliwościami. Potrzymamy go w izolatce, jak długo się da, jednak o efektach trudno mi teraz wyrokować. Jeśli koniecznie chce pani coś dla niego zrobić, proszę posiedzieć przy nim, mówić do niego i trzymać za rękę. Nie wiem, czy to pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi.

Czekała, że doda „cokolwiek by się nie działo”. Nie zrobił tego, miała już wystarczająco wiele „dobrych” informacji i najlepsza z nich brzmiała: wszystko jest możliwe.

A teraz Andrzej odpowiedział na dotyk i ucisnął jej dłoń.

– Andrzej, Andrzej... – powtarzała, patrząc w szeroko otwarte i nieruchome oczy męża. Mąż. Nazywała Andrzeja Krzyckiego mężem, choć wciąż nie wzięli ślubu. Byli i nie byli małżeństwem, trochę tak jak on teraz był i nie był przytomny. Ani tak, ani nie. Życie rzadko bywa czarno-białe, zwykle zalewa je powódź szarości. Jak te cholerne stada mastodontów na pomorskim niebie.

2

Słyszał i widział, ale nie mówił. Nie było potrzeby. Gadanie jest jak obżeranie się ciastkami – przyjemność stopniowo bierze górę nad rozsądkiem, aż w końcu chce ci się rzygać. Rejestrował wyczekujące spojrzenie Doroty, słyszał pytania lekarza i pielęgniarek, zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojego milczenia, skutecznie jednak obronił się przed pokusą odpowiedzi. Nie gadać – myśleć. Kojarzyć, podsłuchiwać, łapać wysyłane mimochodem sygnały, zbierać najbliźsze nawet informacje i niczego nie zdradzać. A najbardziej tego, że widzisz i słyszysz. Tak brzmiał jego plan na najbliższe dni, ukuty z ostatnich doświadczeń. Najchętniej w ogóle by zniknął, aby móc bez przeszkód dokończyć to, czego nie udało mu się załatwić w tamtym bunkrze.

Dokładnie tak: zniknąć.

Dorota siedziała przy nim każdego dnia po kilka godzin, zupełnie jakby wypełniała jakiś samarytański plan maksimum. Zgodnie z przepowiednią komisarza Ryszarda Hadczuka, stolik i parapet obok łóżka zajmowały pudełka ze słodyczami, egzotyczne owoce w różowych siatkach oraz butelki soków i wód mineralnych. Czyżby najlepszym lekarstwem na zatrucie było nieprzerwane

jedzenie i picie? Może tak. I ona ciągle te wiktuały przedstawiała z miejsca na miejsce, próbując zabić czas w trakcie drzemek, w które zapadał. To znaczy udawał, że zapada. Bo przecież nie spał. Myślał.

Obecność Doroty go krępowała. Zniknięcie Lucka sprawiło, że Andrzej, niczym alkoholik pod koniec ciągu, w ostatnich trzech tygodniach działał i podejmował decyzje według kryteriów dalekich od racjonalizmu. Epizod z licealistką Anią niewątpliwie taki właśnie był – daleki od racjonalizmu. Na dodatek Dorota się domyślała...

Powodów do milczenia miał więcej. Na przykład pytania o akcję (nieudaną) uwolnienia podkomisarza Lucjana Bałysia, podczas której zginęło kilku ludzi, w tym również od strzału z dużej odległości. Nie wszystkie decyzje podjął sam (karabin snajperski wziął na siebie sierżant Benedykt Mrówczyński), a pewne sprawy w ogóle wymknęły się spod kontroli, nie miał jednak zamiaru się z tego tłumaczyć. Musiałby pograżać albo kolegów z komendy ślupskiej, albo samego siebie.

Jego rzekomy brak kontaktu z otoczeniem stanowił również dobry sposób na zdobycie informacji, ponieważ przy nieprzytomnym pacjencie personel szpitala pozwalał sobie na różne uwagi. Od trajkoczących salowych dowiedział się na przykład, kiedy szpital się wyludnia i można niepostrzeżenie wymknąć się na miasto. Od pielęgniarek usłyszał, że w szufladzie jest zapasowe opakowanie hydroksykobalaminy w płynie, czyli suplementu witaminy B12, która wypiera cyjanek z połączeń wewnątrzkomórkowych i stanowi doskonałą odtrutkę. Jedna z dziewczyn w jego obecności otrzymała od lekarza upomnienie, by zmniejszyć dawkę środka stymulującego układ nerwowy, żeby pacjent zaraz po obudzeniu „nie wyskoczył przez okno”. Gdy tylko wyszła z pokoju, Krzycki wyteżył siły i w kropłówce podkreślił dozownik z powrotem. Przecież chciał wyskoczyć przez okno. Najlepiej prosto do kabrioletu z włączonym silnikiem.

Milczenie miało jeszcze jedną dobrą stronę. Mógł spokojnie pomyśleć co dalej. Wydostanie się ze szpitala stanowiło tylko pierwszy punkt programu, bardzo początkowy. Gdyby nawet spełniło się bajkowe lądowanie w gotowym do jazdy kabrioletcie, należało jeszcze wiedzieć, dokąd pojechać. Szalony Artur Kała, były policjant, mógł przetrzymywać Lucka wszędzie, dosłownie. Umożliwiały mu to rozległe kontakty oraz liczne firmowe posiadłości. Jeżeli jednak miał trochę oleju w głowie – a szaleńcy zwykle mają go dużo – nie trzymał Bałysia w żadnej z nich z tego prostego powodu, że tam policja będzie szukać najpierw. Wprawdzie nadal cieszył się silnymi wpływami w komendzie, ale zaginął oficer policji i tutejsze służby musiały coś przedsięwziąć. Przełożony Krzyckiego, komendant Dariusz Byczkiewicz, z pewnością również wywiera odpowiednie naciski, a w ogóle to niewykluczone, że lada dzień tu zawita, by osobiście nadzorować poszukiwania jednego z jego ludzi. Niby dobrze, ale...

To nic nie da. Miał przecucie graniczące z pewnością, że machina policyjnego śledztwa i szeroko podejmowanych akcji poszukiwawczych nie przyniesie żadnych pozytywnych rezultatów, i to z kilku powodów. Po pierwsze, działała według schematów doskonale znanych byłemu policjantowi, który z powodzeniem przewidywał kolejne posunięcia kolegów z komendy. Byli to jego niegdyś podwładni, więc robiło się jeszcze ciekawiej. Po drugie, działała wolno, a wszystko wskazywało na to, że Artur Kała nie chce zbyt długo czekać. Po trzecie wreszcie, uprowadził Lucka Bałysia tylko z jednego powodu: żeby zwabić Krzyckiego, skoro wciąż żyje. Zwabić i zabić.

Żyje... Spróbował poruszyć ręką, co nawet się udało. Dorota wyszła z pokoju, więc poruszył i nogą. Poszło gorzej. Kolana miał jak zacementowane i jedyne, na co mógł się teraz zdobyć, to powolne obracanie w prawo i w lewo tych dwóch sztywnych kłoców. Nie bardzo umiał sobie wyobrazić, że sam, bez niczyjej pomocy, wychodzi z tego pokoju. A przecież musiał wyjść.

Własne rachunki z Kałą mógłby odpuścić, co innego Lucek. Ten chłopak płacił za niego. Od samego początku, kiedy wiosną w Krakowie ustalili wspólnie, że zastąpi go na konferencji w ślupskiej Szkole Policji, sprawa przebiegała jak źle napisany scenariusz. Gdyby pojechał Krzycki, do konfrontacji z ciętym na niego Kałą doszłoby od razu, bez zbędnego pośrednictwa osób trzecich, i dzisiaj byłoby po wszystkim. To znaczy po nim. Zamiast tego Lucka nadal nie ma, on nadal żyje, a Kała nadal ma ochotę zabić go za swoją sercową krzywdę sprzed dwudziestu dwóch lat.

Ktoś szedł korytarzem. Pewnie Dorota.

Nie, to nie ona. Buty lekko skrzypiały o śliską podłogę, krok był energiczny i długi. Męski. Rysiek Hadczuk niósł następną porcję wiadomości.

3

– Cześć! Jak tam dzisiaj?

Komisarz Ryszard Hadczuk pochylił się nad chorym i parę razy przeciągnął dłońią przed jego oczami, jak magik. Gałki oczne posłusznie zareagowały, więc wyjął spod pachy foliowy worek z zawiniątkiem i po rozpakowaniu zawiesił na palcu przezroczyste pudełko wypełnione ciastkami i zgrabnie przewiązane czerwoną wstążką z kokardą.

– Ładne? Córka upiekła specjalnie dla ciebie. Uprzedzałem, że masz problemy z przetykaniem, ale tłumacz dziewczynie. Ona też cię chyba uwielbia. Jak schodzi na ciebie, zaczyna mówić szybciej i głośniej. A każdą rozmowę kończy uwagą, że gdyby nie ty, już by nie żyła. To znaczy wykrzykuje i wychodzi z pokoju, jakby się na wszystkich obrażała. Psycholog mówił, że to skutek urazu.

Chory przytaknął mrugnięciem powiek, po czym popatrzył w kierunku parapetu.

– Mam położyć na oknie? Jasne, oczywiście. Ale ci tego nanieśli! W zasadzie jesteś już przygotowany do zimowania w tej sali. Nie żebym ci życzył...

Usta Krzyckiego wykrzywiły się w słabym uśmiechu. Córkę komisarza, Sylwię Hadczuk, uratował właściwie przypadkowo, przy okazji obławy na Kałę i uwalniania Bałysia. Zatrudniona w jednej z firm Artura Kały, została przez niego pewnego dnia uprowadzona, a następnie zgwałcona. W momencie, kiedy Krzycki go obezwładniał, miała przystawiony do skroni pistolet. Chyba również stanowiła coś w rodzaju przynęty.

– Słuchaj, Andrzej. – Hadczuk szybko zmienił temat. – Prawie cała nasza jednostka przeczesuje okolicę. Pozbierałem mapy tutejszych umocnień obronnych i własnoręcznie sporządziłem schemat poszukiwań. Pomyślałem, że ty byś tak zrobił. Dobrze myślę?

Chory mrugnął.

– No właśnie. Ale tego jest, powiem ci, w cholerę i trochę. Chłopaki włóczą się po lasach, rozkopują zasypane jamy leśne, przedzierają się przez dzikie zarośla i taplają w błocie na nieprzejezdnych drogach. I ciągle muszą przeganiać turystów, bo ci z powodu brzydkiej pogody szukają alternatywnych atrakcji, a do takich zawsze należało zagładanie w ciemne i zakazane miejsca. No nic, w każdym razie szukamy.

Przemowę zakończył głębokim westchnieniem ulgi, jakby cieszyło go dotarcie do kropki po ostatnim słowie. Sęk w tym, że ostatnie słowo miało być zupełnie inne. „Szukamy” oznaczało „nie znaleźliśmy”. Przewidując reakcję chorego, wołał teraz nie spoglądać mu w oczy i zajął się poprawianiem prześcieradła. Nagle spod kołdry wysunęła się blada dłoń i mocno ścisnęła go za nadgarstek.

– Co...?

Dłoń puściła i kciukiem wskazała szafkę obok łóżka. Hadczuk wysunął szufladę i wyjmował kolejno blister z tabletkami przeciwbólowymi, komórkę, portfel, paczkę chusteczek higienicznych,

ale Andrzej mrugnął dopiero przy żółtym długopisie. Rysiek zrozumiał, pogrzebał głębiej i trafił na plik karteczek, po czym podłożył mu je pod lewą dłoń, a do prawej wcisnął długopis. Po chwili pojawiły się tam okropnie koślawe litery: DOM.

– Dom Kały?

Skinienie.

– Oczywiście, zrobiliśmy rewizję i niczego nie znaleźliśmy. Żona wyjechała zaraz po zniknięciu męża, dzieci od dawna już z nimi nie mieszkają – nic. W budynkach firmy również żadnego śladu. Mam na myśli te całe, bo jak wiesz, magazyny sfajczyły się w lipcu.

Dłoń z długopisem znowu się poruszyła: BAGICZ. Zet wyglądało jak wyschnięty na słońcu wąż.

Na starym lotnisku wojskowym w Bagiczu pod Kołobrzegiem znajdowały się podziemne pomieszczenia, do których zwabiono inspektora Andrzeja Krzyckiego w czasie akcji uwalniania podkomisarza Bałysia i tam uwięziono, a następnie potraktowano cyklonem B. Akcja miała miejsce tydzień temu i od tego czasu wszelki ślad po porywaczu oraz jego zakładniku zaginął. Nikt nic nie widział i nie słyszał, a jeśli nawet, to nie puszczał pary z gęby. Zupełnie jak Krzycki w szpitalu, pomyślał Ryszard Hadczuk i postanowił wrócić do tej myśli niebawem. Na razie rozważał, czy powiedzieć o najnowszym założeniu operacyjnym komendanta Krzysztofa Zdybasa, że powinni szukać raczej ciała niż więźnia.

– Kała świetnie się przygotował do tej akcji. Usunął wszystko, co mogłoby nas naprowadzić na trop. Jest starym wyjadaczem policyjnym. Zdjęliśmy ślady opon, porównaliśmy z innymi i potwierdziliśmy, że są z jego samochodu służbowego. I tyle. Samochód zniknął razem z nimi. Nie wiemy zresztą, czy obaj tam byli...

Zamilkł, ponieważ temat nieżyjącego Lucjana Bałysia zrobił się niebezpiecznie bliski. Poza tym Hadczuk już raz to mówił, a powtarzanie jednego z najtrudniejszych dla nich faktów – że nadal nie wiedzą, czy Lucek Bałyś również znajdował się wtedy

w bunkrze w Bagiczu czy nie – wystawiało jego wiarygodność na szwank. A przed Krzyckim bardzo chciał być wiarygodny. Nawet bardziej niż bardzo.

Tymczasem Andrzej na kartce bazgrał dalej. DUDA... i kolejny zasuszony wąż, zapewne S.

– Chodzi ci o młodego Dudasa? Trafił tu na SOR i wyszedł zaraz następnego dnia, po czym przepadł jak kamień w wodę. Pewnie wybył gdzieś za granicę. Skąd wiem? Jego telefon ostatni raz logował się do sieci z Irlandii. Myślę, że Sławek Dudek nie wytrzymał stresu i po prostu uciekł. Ja bym tak zrobił.

Nie powiedział na głos tego, co w następnej sekundzie sobie pomyślał – że nie jest Sławkiem Dudkiem i nigdy nie będzie. Widział tego nastolatka dwa razy w życiu, i to byli dwaj różni ludzie. Ten widziany wcześniej, na drodze pod Żegocinem, gdy na bieżąco wymyślali plan zaatakowania bazy transportowej Kały, to zdeorientowany i miękki chłopiec, któremu Andrzej bez trudu założył na głowę idiotyczny czepek z bandaża i kazał prowadzić samochód. Ten drugi, mijany tydzień temu na schodach szpitala, miał parę nieruchomych guzików zamiast oczu i zaciśnięte wargi. Nie zauważył go. W ogóle nie zauważał nikogo, tylko parł do przodu, wiedziony jedną obsesyjną myślą i Hadczuk bał się zgadywać, co to za myśl. Natychmiast zarządził wzmocnienie ochrony SOR-u. Z tego powodu fakt, że Krzycki nadal żyje, również graniczył z cudem. I tego też nie mógł mu powiedzieć.

– Ale wiesz co? – wykrzyknął ze sztucznym entuzjazmem. – Spotkałem na korytarzu doktor Gęsik i powiedziała mi, że Dominika się do ciebie wybiera. Z Lalą! Kto wie, może wpadną jeszcze dzisiaj... Co?

Odrzucił się, ponieważ Andrzej zerknął ku drzwiom, po czym schował ręce z notesem i długopisem pod kódrę i zamknął powieki. Sekundę później w progu stanęła Dorota Rachwalska.

– Rozmawia pan z nieprzytomnym, panie komisarzy? – zdziwiła się zdziwieniem prokuratora. Miała w ręku papierowy kubek

z kawą i czekoladową muffinkę. Hadczukowi przemknęło przez myśl, że cały parapet pod oknem zastawiony jest słodyczami, a żona Krzyckiego kupuje sobie ciastko w automacie. I też się zdziwił.

– Mówię do niego, bo według lekarza to pomaga. Niewykluczone, że coś słyszy i to jakoś pobudza jego mózg. Nie sądzi pani?

Nie odpowiedziała, odstawiła tylko kubek na parapet. Muffinka obok sterty wiktuałów wyglądała jak kieliszek żytniej obok skrzynki wódki. Od pierwszej minuty znajomości z Dorotą Rachwalską komisarz Hadczuk czuł dziwny respekt. Zawsze elegancko ubrana i umalowana, z lekko uniesionym podbródkiem, wolny krok, piersi do przodu – zupełnie jakby chciała pokazać, że cały czas doskonale nad wszystkim panuje. Nie był wielkim psychologiem, ale lata praktyki nauczyły go, że tacy ludzie mają zazwyczaj problemy z panowaniem nad wszystkim, a dokładniej – z panowaniem nad czymś w sobie, czego nie umieją do końca rozpoznać. Tak, pomyślał, ta kobieta mogła imponować Krzyckiemu. W takim razie po co licealistka?

– Rozmawiałem z doktor Gęsik – kontynuował z braku lepszego pomysłu na swoją dalszą obecność w sali. – Mówiła, że najgorsze za nami i panu inspektorowi lada dzień powinno się poprawić. Niewykluczone, że jeszcze w tym tygodniu stanie na nogi. Podobno rehabilitacja układu mięśniowego przebiega bardzo dobrze.

– To świetnie – odparła chłodno. – Może wreszcie się obudzi i będę mogła wrócić do Krakowa. Jeszcze parę dni sterczenia tutaj i mój interes padnie jak zdechły pies. Nie chodzi o Lalę oczywiście – dodała i odwróciła się do okna.

Hadczuk, i tak już mocno skonfundowany, jeszcze bardziej zbaraniał i poczuł się jak podstawek pod kieliszek żytniej. Ale kosa z tej baby. Jej mąż walczy o życie, a ona się martwi, czy jej interes dobrze prosperuje. Czyżby wiedziała o dziewczynie ze Sławna? Może się spotkały w windzie i ta ją udusiła, wyłupiła oczy, a potem wyrzuciła ciało do zsypu? Wyglądała na taką, która jest do tego

zdolna. Zawodowy odruch kazał mu zerknąć na jej dłonie, ale nie dostrzegł pod paznokciami czerwieni.

Czuąc, że nic tu po nim, szef Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej w Słupsku uniósł się z taboretu i po uprzejmym ukłonie opuścił pokój. Wcześniej jednak wykorzystał okazję, gdy pani Rachwalska stała tyłem do nich, by wyjąć spod kołdry długopis oraz notes i włożyć do szuflady, uprzednio wrywając z niego zapisane kartki. Uznał, że tak będzie lepiej. Gdy schodził po schodach z pierwszego piętra, rozmyślał nad ciekawą figurą sytuacyjną: przy nim Krzycki był przytomny, a przy Dorocie Rachwalskiej nie. Co to znaczy? Kiedy znalazł się przed szpitalem i zapinając kurtkę, parł pod wiatr po zalanym deszczem parkingu, doszedł do wniosku, że wkrótce się dowie. Ten policjant z Krakowa niczego nie robił ot tak, po prostu. Wsiadając do samochodu, Hadczuk posunął się w swej refleksji jeszcze dalej i stwierdził, że Andrzej Krzycki pasuje do Słupska. Dziwny człowiek w dziwnym mieście, gdzie nawet szpital nazywa się wojewódzki, chociaż województwo słupskie dawno zniknęło z mapy.

Dorota również dostrzegła tę ciekawą figurę sytuacyjną, wnioski jednak wyciągnęła odmienne. Andrzej ze śledczym Ryszardem Hadczukiem chciał się komunikować, a z nią nie. Nawet w tym stanie pracował, sprawy osobiste mając gdzieś. Nie była mu potrzebna, a jej codzienne siedzenie przy nim i trzymanie za rączkę znaczyło mniej niż te siatki z tanimi pomarańczami. Afazja ruchowo-czuciowa, akurat.

W porządku, Krzycki, jak sobie chcesz.

Pochyliła się nad swoim mężem nie-mężem i wyszeptala półgłosem prosto w jego szeroko otwarte oczy:

– Zrozumiałam, kochanie. Już mnie nie ma. Kiedy znajdziesz to, co zgubiłeś, i zaliczysz wszystkie ciekawe licealistki w okolicy, zadzwoń. No to pa.

Wyszła, żeby nie odpowiadać na jego głupie mruganie.

Zgodnie z medyczną przepowiednią doktor Renaty Gęsik w ciągu następnych dni nastąpiła znacząca poprawa zdrowia inspektora Krzyckiego. Nagle odzyskał przytomność, zaczął normalnie jeść, widzieć, słyszeć i prawidłowo reagować na bodźce zewnętrzne, a jego seanse rehabilitacyjne można by nagrywać i pokazywać w internecie jako materiał pomocniczy na kursach dla rehabilitantów. O własnych siłach robił dwa, trzy kroki między metalowymi poręczami, sapiąc przy tym i dysząc jak lokomotywa. Z dnia na dzień nauczył się przesiadać z łóżka na wózek i z powrotem. Po kilku przejażdżkach po korytarzu odkrył zalety oddziału rehabilitacyjnego, a zwłaszcza wyścigi na wózkach.

Doktor Brodecki w ostatniej chwili skonsultował się z kolegami i podjął decyzję o przeniesieniu inspektora z SOR-u nie na oddział neurologiczny, a na rehabilitację. Więcej nie interesował się chorym i nigdy już do niego nie zajrzał. Być może, wzorem Doroty, obraził się o to udawanie nieprzytomnego. Niewykluczone, że chciał się pozbyć kłopotliwego pacjenta, który uparł się, by w pewnych zakresach leczenia nie rokować. Krzycki wracał do zdrowia, ale nadal nie mówił.

Nie sprawdziła się natomiast inna z przepowiedni doktor Gęsik. Dominika Rodriguez-Bałyś, policjantka i podwładna Krzyckiego oraz żona podkomisarza Lucjana Bałysia, nie przyszła z Lalą w odwiedziny ani tamtego dnia, ani żadnego innego. Zupełnie jakby jej nie obchodziło, że jedyny przyjaciel męża ledwie dycha, i to wskutek ratowania Lucka. Co prawda, nieudanego. Doktor Gęsik, ciotka Dominiki, próbowała po swojemu wytłumaczyć zachowanie siostrzenicy.

– Proszę ją zrozumieć – mówiła do chorego, gdy ćwiczył palce, zaciskając je na gumowej piłeczce. – Dominika pracuje od rana do nocy, jest wykończona tym wszystkim. O psa proszę się nie mar-

twić, jej rodzice zajmują się nim, jak trzeba. Zdaje się, że nawet trochę rozpuszczają. Widziałam, jak go karmią.

Pani doktor przerwała na chwilę, ponieważ Krzycki odłożył piłeczki i wziął do ręki notatnik. Porozumiewał się z otoczeniem za pomocą kartki i długopisu, czego żaden ze szpitalnych neurologów nie potrafił wyjaśnić. Kiedy skończył, wyrwał kartkę i złożył na cztery, po czym napisał na niej DOMINIKA i wręczył pani doktor. Uśmiechnął się blado, opadł na poduszkę i zamknął oczy. Zrozumiała, że ma sobie pójść.

Natychmiast po wyjściu z sali przeczytała: „Chcę zobaczyć Lale. Piątek, 20.30”. Dziwne, pomyślała, do szpitala psów wprowadzać nie wolno, a poza tym w piątek wieczorem o tak późnej porze nie ma już odwiedzin. Wzruszyła ramionami, złożyła kartkę i schowała do kieszeni fartucha. Przechodząc obok dyżurki, poprosiła pielęgniarki, aby zadbały o pana inspektora i uważały na te głupie wyścigi wózkami po korytarzu, bo to się może źle skończyć. Dla poparcia prośby położyła na stole siatkę z pomarańczami, jedną z tych z parapetu Krzyckiego. Wracając na swój oddział, myślała o tym, że coś nie daje jej spokoju. Później długo jeszcze żałowała, że nie skojarzyła prostych faktów.

„Głupie wyścigi wózkami” wymyślił „pan inspektor”, gdy tylko odzyskał świadomość oraz jaką taką sprawność ruchową. Ponieważ wąski korytarz tarasowały różne sprzęty i zapasowe łóżka, dwa wózki obok siebie nie miały szans się zmieścić. Dlatego każdy z uczestników musiał jechać osobno, na czas, a zatem potrzebowali precyzyjnie wyznaczonego toru. Komisja zmierzyła odległość od końca korytarza do szklanego przepierzenia wewnętrznego i wyszły siedemdziesiąt trzy metry, co tam i z powrotem dawało metrów sto czterdzieści sześć. Krzycki do spółki z drugim amatorem wyścigów, pewnym profesorem z tutejszej Akademii Pomorskiej, załatwili z personelem zgodę na otwarcie drzwi do holu głównego, dzięki czemu tor jeszcze się wydłużył do okrągłych dwustu metrów. Uczestnicy startowali pojedynczo z samego

końca, czyli spod drzwi pokoju Krzyckiego, i tam mieli powrócić po zakończeniu całej rundy.

Profesorowi udało się przekonać ordynatora oddziału, że nie chodzi wcale o rywalizację sportową, tylko o dodatkowe ćwiczenia ruchowe w myśl świętej zasady rehabilitacyjnej: gimnastyki nigdy dosyć. Ot, parę osób pokręci energicznie kółkami, i tyle, a korzyści fizycznych i psychicznych co niemiara. Nieco zaskoczony ordynator stwierdził, że nie chce nic o tym słyszeć, bo to zabronione, a na koniec poprosił półgębkiem o skonsultowanie tych „ćwiczeń” z personelem. Profesor z typową dla świata nauki pewnością siebie uznał to za zgodę i ruszyły przygotowania. Salowe twierdziły, że był spokrewniony z ordynatorem.

Aby wyrównać szanse i zredukować rażące dysproporcje sprawnościowe, sześciu zakwalifikowanych zawodników podzielono na dwie grupy. W pierwszej znaleźli się ci, którzy zdołali w ogóle popchnąć wózek, nie zwalając się przy tym na podłogę, w drugiej ci nieco sprawniejsi. Krzycki trafił do słabszej grupy. Podczas kwalifikacji sił w ramionach wystarczyło mu zaledwie na dojechanie do szklanych drzwi holu, powrót stanowił już poważny problem. Pozostali pacjenci mogli obstawiać faworytów, ponieważ każdy z zawodników miał na plecach kartkę z numerem.

Zanim doszło do rozgrywek finałowych, przez trzy dni odbywały się intensywne treningi, głównie wieczorami, kiedy ostatni odwiedzający opuścili oddział. Nominalnym kierownikiem zawodów został profesor, gdyż długie siwe włosy i skrzacia bródka predestynowały go do tej funkcji. Na jego zastępcę wybrano pewnego szachistę po wylewie. Obaj za pomocą ad hoc wykombinowanego języka migowego porozumiewali się jakoś z nadzorującym wszystko Krzyckim. We trzech ustalali bez końca regulamin zawodów, który w przeddzień rozgrywek miał być poddany pod głosowanie, a następnie doręczony przełożonej pielęgniarek jako podstawa prawna do rozstrzygania sporów i wątpliwości. Zbierali się w pokoju inspektora i z zewnątrz wyglądało to jak skompli-

kowany teleturniej: jeden facet machał rękami, drugi bełkotał nieartykułowane dźwięki, a trzeci na głos usiłował zgadnąć, o co tamtym chodzi, i wnioski wpisywał do zeszytu.

Zawody wyznaczono na piątkowy wieczór. Kobiety z drugiej części korytarza zażądały prawa do startu, ale komitet organizacyjny przypomniał im, że w prawdziwych sportach również obowiązuje segregacja płciowa i mogą sobie zorganizować własny wyścig. Zarezerwowały termin na następny piątek. Dwie wyjątkowo sympatyczne pielęgniarki zgodziły się robić za sędziów liniowych, ich przełożona kontrolowała sytuację z okna dyżurki, a w holu głównym ustawiono dodatkowo młodziutką praktykantkę o długich nogach i promiennym uśmiechu. Dziewczyna najwięcej swego samarytańskiego miłosierdzia poświęcała oczywiście inspektorowi Krzyckiemu. W każdej z sal jeden w miarę sprawny pacjent pilnował, by podczas biegu nikt nie wychodził niepotrzebnie na korytarz. Tuż przed zawodami wszyscy obowiązkowo musieli skorzystać z toalety, co nadzorował sam inspektor, który skorzystał jako ostatni.

Największy problem wiązał się z uzyskaniem zgody na turniej od dwóch ochraniających Krzyckiego policjantów. Bardzo służbiści i nieco tępi, uważali całą zabawę za ryzykowne i niepotrzebne głupstwo, a w ogóle to żywili pretensje do całej ludzkości o to, że muszą w piątek wieczorem kiblować na taboretach w szpitalu, zamiast pić piwo z kumplami przed telewizorem. Jeden z nich nawet to wprost powiedział. Zasadniczo Andrzej z profesorem przyznali im rację i postanowili uczynić zadość ich życzeniu. Ustalono, że obaj policjanci usiądą w progu pokoju Krzyckiego, gdzie na ścianie wisiał duży telewizor, i będą jednym okiem zerkać na siedzącego tuż obok podopiecznego, a drugim oglądać mecz na Canal+. Szachista zaoferował, że dostarczy im po butelce piwa, które żona przynosiła mu na filtrowanie nerek. Podczas biegu Andrzeja jeden z nich miał iść tuż za wózkiem. Ostatecznie przeważył argument profesora, że o tej godzinie i tak szpital jest zamykany, a windy działają tylko na specjalny klucz. To nie była prawda, ale łyknęli.

Kiedy chwilę po nagle przerwanych wyścigu komisarz Ryszard Hadczuk rozmawiał z uczestnikami tej absurdalnej imprezy, usiłując ogarnąć sytuację, nie mógł się nadziwić ich zbiorowej naiwności. Nikt nie przewidział takiego obrotu sprawy i wszyscy zgodnie twierdzili, że miało być fajnie. Całkiem jak dzieci, które nie rozumieją, dlaczego dorosłych tak strasznie denerwuje wrzucanie do ogniska pustych puszek po dezodorantach.

5

Zawody rozpoczęto planowo o godzinie ósmej wieczorem, najpierw startowali słabsi. Chodziło o to, by spokojnie pokonali dystans, nie stresując się wynikami bardziej sprawnych kolegów z wyższej kategorii. Krzycki jako faworyt w swojej grupie miał jechać trzeci. Spośród pozostałych dwóch za groźniejszego rywala pana inspektora uważano kierowcę, który pewnego zimowego dnia sennym świtem wjechał ciężarówką w dom na zakręcie i obudził się w czyjejs sypialni, z głową na łóżku i resztą ciała nie wiadomo gdzie. Teraz próbował to ciało odnaleźć na rehabilitacji. Trzeci w tej grupie, chłopak z porażeniem mózgowym, okresowo łądował w szpitalu, by poprawić koordynację ruchów.

To on startował jako pierwszy i zebrał najgorętsze owacje. Obie strony korytarza zagrzewały go do walki krzykiem i łomotem, a pielęgniarki na próżno starały się je uciszać. Dopiero kiedy zagroziły, że natychmiast przerwą zawody, zrobiło się nieco spokojniej. Chłopak z nitką śliny między wargami i czarnym błyskiem w oku walił dłońmi w opony wózka, by go rozpędzić, a ze wszystkich stron padały zachęcające pokrzykiwania i chichoty, gdyż obrazek zaiste zasługiwał na najwyższą ocenę. Gdyby zawody skończyły się normalnie, z pewnością otrzymałby nagrodę publiczności. Jechał prawie piętnaście minut.

Tirowiec domokrażca nie budził już tak wielkiego entuzjazmu. Walczył na poważnie, przepelniony żądzą zwycięstwa i bez tej olimpijskiej radości, jaka jest udziałem prawdziwych wybrańców bogów. Jedną rękę miał wyraźnie silniejszą i jego wózek zносиło na lewą stronę korytarza, gdzie stały szpitalne sprzęty. Dwukrotnie zaczepił o kółko zapasowego łóżka i omal nie zleciał. Ale parł dalej. Pokonał trasę znacznie szybciej, w niecałe osiem minut. Był lepszy, niż sądzono, i przed Krzyckim stało bardzo trudne zadanie. Gdy startował, w korytarzu zapadła cisza.

Starając się później rozeznac w sytuacji, Ryszard Hadczuk pogubił się podczas ustalania podstawowych faktów. Nie wiadomo, kto pierwszy zauważył dym, ponieważ siostry twierdziły, że to one, policjanci również widzieli w tej roli samych siebie, a pacjenci wymieniali nawzajem swoje nazwiska. Ile czasu minęło od zniknięcia Krzyckiego za przeszkłonymi drzwiami do alarmu praktykantki, również nie dało się ustalić – od dziesięciu sekund do trzech minut. Nikt nie potrafił powiedzieć, o której godzinie dokładnie wystartował Krzycki, chociaż profesor jako sędzia główny mierzył czas stoperem. Tłumaczył cierpliwie, że stoper to nie zegarek i pokazuje tylko czas względny, „arbitralnie wyznaczony na potrzeby danego badania, z ad hoc kreowanymi wartościami krańcowymi”, jak się wyraził. Ad hoc należało do jego ulubionych wtrętów.

Hadczukowi nie pozostało nic innego, jak chwytać się trzeciorzędnych szczegółów. Na przykład jedna z pielęgniarek zwróciła uwagę, że podczas wystąpienia pierwszego zawodnika było bardzo głośno, przy drugim już nie, a gdy jechał Krzycki, panowała zupełna cisza. I właśnie w tej ciszy okrzyk „pali się!” zabrzmiał niesamowicie donośnie. „Jakby kogoś kroili nożem”, powiedziała. Czerpała inwencję porównawczą z najbliższego otoczenia. Jej koleżanka zwróciła uwagę na to, że Krzycki ciągle patrzył na zegarek. Jeden z pacjentów rozводził się nad wysokością obcasów praktykantki.

– Z piętnaście centymetrów! Jak tak można do pracy chodzić! Co to jest, dyskoteka jakaś czy co? – pokrzykiwał, by zakończyć konkluzją o całkowitym upadku polskiej służby zdrowia. Przesadzał, ale nie do końca, ponieważ jeszcze dwie inne osoby zauważyły, że tego dnia dziewczyna nosiła czerwone czółenka na wysokich obcasach.

Inny pacjent najbardziej ze wszystkiego pamiętał stuk krzesła podpierającego otwarte skrzydło drzwi. Wyjeżdżając do holu, Krzycki je przewrócił, co również miało później swoje skutki. Jeszcze innemu pacjentowi najbardziej utkwily w pamięci ostre głosy policjantów, którzy nie mogli się precyzyjnie przemieszczać przez zaporę z ludzi na wózkach i krzykiem próbowali sobie torować drogę. Na szczęście znaleźli się najbliżej toalety, skąd wydostawały się kłęby czarnego dymu, i zdusili pożar w zarodku. Zresztą wcale nie taki znowu pożar, jak się okazało.

Poskładana z tych ubożuchnych i średnio do siebie pasujących elementów historia wyglądała mniej więcej tak. Kiedy Krzycki startował, na Canal+ zaczął się przegląd najciekawszych bramek właśnie zakończonego sezonu i policjant zamiast iść za nim, został w progu, żeby zobaczyć Modricia strzelającego rzut karny. Piwo postawił na taborecie w pokoju i ręce oparł na framudze, aby niczym wańka-wstańka kołysać się z boku na bok, zerkając i tu, i tam. Tu Modrić, tam Krzycki. Modrić–Krzycki, Modrić–Krzycki, Modrić...

I wtedy wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Ktoś tuż obok wrzasnął na całe gardło: „Pali się!”. W zeznaniach większość wskazywała na profesora. Jak na komendę ze wszystkich sal wyjechali zaalarmowani pacjenci i całkowicie zatarasowali korytarz. Spod drzwi toalety rzeczywiście wydobywał się czarny dym, a jedna pielęgniarka (z tych mniej sympatycznych) twierdziła nawet, że najpierw był krzyk, dopiero później dym. W tym samym momencie Krzycki skręcił w drzwi holu, trącając stołek, i zniknął z pola widzenia. Zapanaował chaos. Pacjenci krzyczeli, jęczeli i rżęzili w panice, wózki

jeździły we wszystkie strony, aż się pozakleszczały i zabarykadowały przejście. Policjant wskoczył na łóżko i próbował przedostać się nad kłębowiskiem ludzi i sprzętów, ale nie dał rady. Opuścił przy dyżurce i ulegając wrzaskowi młodej pielęgniarki (sędzia liniowa numer jeden), przedarł się do źródła pożaru, wołając za sobą kolegę. W toalecie odkryli metalowe wiaderko wypełnione zużytymi opatrunkami, z którego kłębami walił smolisty dym. Jeden z mężczyzn przytomnie zerwał klapę z klozetu i nakrył wiadro. Pożar szybko opanowano. Pozostało tylko wywietrzyć oddział i uspokoić pacjentów.

To drugie wymagało sporego trudu, ponieważ chorzy zapamiętali krzyczeli i wiercili się, zupełnie jak nakręceni. Uspokoił się nieco dopiero na odgłos walenia w szklane drzwi oddziału. Z głównego holu dobijała się praktykantka w czerwonych czółenkach. Krzyczała i pokazywała ręką za siebie. Krzycki, wyjeżdżając, przewrócił stołek w drzwiach i je zatrzasnął. Praktykantka dzwoniła domofonem, ale w ogólnym rozgardiaszu nikt jej nie słyszał, więc zaczęła walić pięściami w szybę. Wreszcie ktoś otworzył drzwi i wszyscy mogli usłyszeć:

– Inspektor Krzycki spadł ze schodów!

Wózki znowu poszły w ruch, a jednym z najaktywniejszych okazał się wózek profesora. Akademik pomorski kręcił się w kółko i taranował sąsiadów rzekomo w celu przebiccia się do przodu, czym wprowadzał dodatkowy zamęt. Policjanci stracili kilka minut, nim udało im się wydostać z bezładnego pomieszczenia materii ożywionej i nieożywionej. Wypadli za szklane drzwi i rzucili się ku schodom. Rzeczywiście, na półpiętrze leżał przewrócony wózek z doczepionym na oparciu numerem 3. Pacjenta Andrzeja Krzyckiego nigdzie nie było.

Hadczuk musiał przyznać: policjanci zrobili wszystko, jak trzeba. Zbiegli schodami z czwartego piętra na parter, po drodze sprawdzając kolejne oddziały, pytali panie w recepcji oraz ochroniarza przy wyjściu. Pierwsze odparły, że nie widziały nikogo,

drugi stwierdził filozoficznie, że tu ciągle ktoś wchodzi i wychodzi. Rozdzielili się. Jeden pobiegł schodami na górę i zszedł jeszcze raz, zaglądając we wszystkie zakamarki. Drugi wybiegł przed główne wejście, ale nie zobaczył tam żywego ducha. Jedynie z parkingu służbowego na tyłach budynku wyjeżdżało jakieś auto, w zapadającym mroku nie dało się jednak dostrzec, kto siedzi za kierownicą. Policjant nie rozpoznał nawet marki ani koloru pojazdu.

Później wszystko się wyjaśniło.

Sprawy zwykle wyjaśniają się później, pomyślał Hadczuk. Albo wcale. Jakby świat chciał nam powiedzieć, że ludzka potrzeba wyjaśniania nie jest najważniejsza. Ot, szczególnie rozwinięty gatunek małp ubzdurał sobie, że będzie wyjaśniał, czyli doklejał do zdarzeń swoje koncepcje, teorie, wnioski. Przecież oprócz ludzi, i to nie wszystkich, żadne inne stworzenie na Ziemi nie potrzebuje całego tego wyjaśniania, które jest zwykłym mędrkowaniem, czyli robieniem sobie dobrze za pomocą gadania. Krzycki ma rację, że milczy.

Takie to ponure i niechętnie gatunkowi ludzkiemu refleksje towarzyszyły komisarzowi Hadczukowi, kiedy z kawałków składał do kupy historię zniknięcia Andrzeja Krzyckiego ze Specjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego im. Janusza Korczaka w Słupsku wieczorem 18 sierpnia 2017 roku. Poniewczasie okazało się (sprawy wyjaśniają się później), że uciekający pacjent dysponował sprawnością fizyczną znacznie wyższą od tej, jaką demonstrował. Zjechał schodami na półpiętro, gdzie porzucił wózek, i dalej biegł o własnych siłach. Na trzecim piętrze wsiadł do windy i prawdopodobnie udał się nie na parter, a na drugie piętro, skąd przewiązką przedostał się do części administracyjnej szpitala. Stamtąd inną windą zjechał na tylny parking i wyszedł na zewnątrz. W zawodach powinien był wystąpić w tej drugiej, lepszej grupie. I pewnie by wygrał. A właściwie powinien zostać zdyskwalifikowany na podstawie ułożonego przez siebie regulaminu. Za udawanie niesprawności.

Pacjent odjechał brązową kia ceed Dominiki Rodriguez-Bałys, która spełniła prośbę z karteczki i stawiała się na parkingu wraz z suką Lalą. Na wszystkie pytania o okoliczności przejęcia samochodu przez uciekiniera odpowiadała tylko:

– Po prostu mnie zaskoczył! A ten głupi pies też!

W trakcie kłecenia ułomków w całość Hadczuk doszedł do wniosku, że w spisku brali udział wszyscy. Profesor i szachista kontrolowali wybuch paniki, a następnie kierowali blokowaniem korytarza i uniemożliwili policjantom dotarcie do holu. A tam Krzycki, jak Łazarz, nagle powstał z kalekich i porzuciwszy wózek, umknął na własnych nogach. Reszta pacjentów miała za zadanie stworzyć sztuczny tłok. Dwie pielęgniarki w roli sędziów bocznych i nadzorujące porządek zamiast pomóc policjantom, zajęły się tłumieniem paniki i apelowaniem o ciszę. Inaczej mówiąc, przedłużyły blokadę korytarza. Praktykantka specjalnie tego dnia przyszła do pracy w czerwonych szpilkach, by móc się wytłumaczyć z faktu, że nie podjęła skutecznego pościgu po schodach. Hadczuk z chęcią zgarnąłby wszystkich, nawet telewizor, bo akurat w tym momencie pokazywał ulubionego piłkarza świata. Tylko – za co właściwie?

Nie spiskowali jedynie dwaj policjanci, a to właśnie na nich spadła kara. Komendant Krzysztof Zdybas nakazał ich obu natychmiast zwolnić za niedopełnienie obowiązków i picie na służbie, choć mieli tylko chronić inspektora przed ewentualnym atakiem ze strony ludzi Kały, a nie pilnować, by nie uciekł. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja. Z wściekłości przełożonego Hadczuk wywnioskował, że było dokładnie odwrotnie – ci dwaj dostali rozkaz, by nie spuszczać z Krzyckiego oka. On sam musiał się tego domyślić, skoro ułożył tak spektakularny scenariusz ucieczki.

Z szafy zniknęły spodnie, koszula i buty, które choremu na wszelki wypadek przyniosła Dorota. Zniknęła również fiolka tabletek przeciwbólowych, portfel i telefon komórkowy oraz notes

z długopisem, co mogło świadczyć o tym, że Krzycki nadal nie mówi, choć i do tej koncepcji komisarz podchodził z rezerwą. Andrzej mógł stracić mowę wskutek zatrucia cyjanowodorem, ale również dlatego, że po prostu nie chciał się odzywać. Kiedy człowiek milczy, więcej słyszy. A Krzycki musiał usłyszeć coś, co by go doprowadziło do Lucka Bałysia. Przecież po to uciekł. Tu Hadczuk nie miał wątpliwości.

6

Najbardziej bał się o nogi. Praktycznie od dwóch tygodni nie chodził, nie licząc tych paru kroków na zajęciach rehabilitacyjnych lub wykonywanych nocą po kryjomu w pokoju. Nogom poświęcał więc najwięcej uwagi, masował i pielęgnował, zdając sobie sprawę z tego, że od ich sprawności zależy powodzenie całego planu. Wciąż jednak były dla niego zagadką. Ręce nieustannie coś robiły, aktywowały się niejako w momencie, gdy odzyskał przytomność, zwłaszcza że służyły również za narząd mowy. Ale nogi? W dodatku chciał ukryć ich prawdziwy stan, by nie budzić czujności policjantów. Gdyby zobaczyli, jak paraduje po korytarzu o własnych siłach, zaczęliby go uważniej pilnować, a personel oddziału zapewne odebrałby mu wózek, który stanowił istotny punkt planu. Musiał nabierać sprawności i zarazem udawać, że jej nie nabiera. Typowa kwadratura Krzyckiego.

Dlatego kiedy podczas wyścigu wypadł do holu, a zza pleców dobiegł go huk przewracanego krzesła i zatraskujących się drzwi oddziału rehabilitacyjnego, chciał się zerwać i przebiec ze dwa okrążenia, zanim ruszy do właściwej ucieczki. Nie zrobił tego. Jeśli dym nawalił i jeszcze się nie pokazał, pielęgniarka przy drzwiach mogła wszcząć alarm za wcześniej. Dopiero kiedy inspektor usłyszał krzyk „pali się!”, nabrał wiatru w żagle. Pognął wózkiem prosto ku schodom.

– Niech pan uważa! – krzyknęła praktykantka Gosia. Wtajemniczona w plan miała odegrać bezmyślną panikę. Radziła sobie z zadaniem dzielnie: kręciła się w kółko z uniesionymi ramionami i klekotała szpilkami o posadzkę, co przypominało dramatyczną figurę flamenco. Pokazał palcami V, dwie minuty, wciągnął powietrze i pchnął wózek na stopnie.

Przemyślał ten fragment planu sto razy. Odchylił się do tyłu, wysunął stopy przed siebie i hamując dłońmi, stoczył się wózkami dwa piętra po schodach, a tam w korytarzu spróbuje już biec dalej o własnych siłach. Powinien złapać równowagę, ćwiczył przecież balansowanie na dwóch kołach. Co innego jednak kołysać się w ciszy pokoju, a co innego łapać balans na schodach, podczas nerwowej ucieczki. Zaczął dobrze. Koła rytmicznie stukały o stopnie, metalowa konstrukcja wózka poskrzypywała do taktu, ale mniej więcej w połowie za bardzo się odchylił. Gdy zacisnął dłonie na obręczach i pochylił się z kolei do przodu, zwałił się jak długi na pół piętro, a wózek wylądował na nim.

– O Boże! – jęknęła Gosia. – Nic się panu nie stało?

Pokręcił głową i wygrzebał się spod wózka. Zdjął z siedzenia wyposażony w szelki płócienny worek z ubraniami i założył go na ramiona. Spróbował wstać. Udało się połowicznie. To znaczy klapnął z powrotem. Usiadł na tyłku z wyprostowanymi nogami, jak klaun w marnym skeczu, i spojrzał przed siebie. Drugie pół piętra i potem jeszcze cała kondygnacja. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do dziewczyny. Jej biała dłoń przysiadła nieruchomo na poręczy jak mewa.

– Pomóc panu?

Nadal się uśmiechał. Można powiedzieć: klaun pełną gębą. Siedział bezradnie na tyłku i myślał o złotej zasadzie swojego dziadka spod Myślenic: wyżej dupy nie podskoczysz. A on chciał podskoczyć, bo lubił działać ponad siły. Wszystkie dzieci skaczą, ale Ambitny Andrzejek podskoczy najwyżej, bo jest najlepszy. Choćby miał przy tym złamać sobie kość ogonową i doznać wstrząsu

resztek mózgu w poobijanej czaszce, z której jeszcze nie całkiem wywietrzał cyjanowódór.

Nagle poczuł, jak ktoś go podejmuje pod pachy i mocno stawia na nogi. Nie zauważył nawet, kiedy praktykantka zesłała po schodach. Zawahał się, ale ona złapała go za ramiona i odwróciła.

– Da pan radę – powiedziała z namaszczonym spokojem, jakby grali w amatorskim remake’u *Przebudzeń*. A potem pocałowała go w policzek i lekko pchnęła ku schodom w dół.

Zrobił krok i chwycił się poręczy, żeby nie runąć na twarz. Wtedy pchnęła go drugi raz i poszedł, a ona stała chwilę, przyglądając się niepewnym ruchom wciąż oszołomionego Łazarza. Gdy znalazł się na trzecim stopniu, ruszyła do góry. Stuk, stuk, stuk. Miała odczekać chwilę, a potem na zimno odegrać gorączkę. Flamenco.

Później nieraz się zastanawiał, dlaczego to zrobiła. Czy z fascynacji przystojnym inspektorem z Krakowa ruszającym na ratunek przyjacielowi jak dzielny detektyw Tuptuś z komiksu dla przedszkolaków? Może widziała w nim bohatera, kogoś, kto za nich wszystkich naprawi ten popapwany świat? Lud chętnie kupuje takie historie. W każdym razie on chciał tak myśleć i trzymał się tej myśli jak poręczy, z którą właśnie się zmagał, stąpając w dół. Jakoś szło. Szedł. Może dojdzie. Może dojdzie do samego dna. I z powrotem.

Gdy dotarł do drugiego piętra i nad głową usłyszał krzyk praktykantki oraz łomotanie do drzwi, poczuł dopływ energii. Następne minuty niezdarnej, choć przemyślnej ucieczki Andrzeja Krzyckiego dobrze można by zilustrować słynną sceną z *Foresta Gump*: chłopiec z nogami uwięzionymi w deszczułkach koślawo ucieka przed prześladowcami i z każdym krokiem jego ruchy stają się płynniejsze, coraz szybsze i szybsze, wreszcie pędzi jak szalony, zostawiając za sobą nie tylko pościg, ale i całe swoje okropne kalektwo. *Run*, Krzycki, *run*. Kiedy znalazł się na drugim piętrze, skrzył w wąski korytarzyk i w półmroku przemierzał go z rękami opar-

tymi o ściany, na przemian idąc i biegnąc. Krew zaczynała krążyć szybciej i szybciej, oliwiąc zastane w szpitalnym bezruchu kolana. Z każdym ruchem nabierał sił, a raczej przybywało mu wiary, że nabiera sił, ponieważ tak działa adrenalina podczas ucieczki. Skręcił w boczny korytarzyk, jeszcze węższy od poprzedniego, minął kolejno drzwi z napisem „Księgowość” oraz „Zakładowy Związek Zawodowy” i „Z-ca Dyrektora”, po czym dotarł do następnych schodów. Zbiegając, spróbował przeskoczyć dwa stopnie naraz. Udało się. Znowu się udało. Ile razy jeszcze? Nieważne. Biegnij, Krzycki, biegnij.

Tyłnego wyjścia na służbowy parking szpitala pilnował portier. Andrzej zdążył tylko pomyśleć, że gdyby był na jego miejscu i zobaczył faceta w granatowej koszulce i ze szmacianym plecakiem na ramionach, wzięłby go za spóźnionego pracownika administracji albo szpitalnych związków zawodowych. Nie zwalniając więc kroku, uniósł prawą dłoń i z uśmiechem powiedział:

– Już mnie nie ma! Dobranoc panu!

Portier omiół go obojętnym spojrzeniem i wrócił do oglądania karnych na kanale sportowym. Krzycki z ulgą stwierdził, że żaden alarm nie wyje. Jeszcze nie. We wszystkich dyżurkach Polski siedzą teraz grubawi faceci z puszkami piwa pod blatem i oglądają karne na kanale sportowym.

Na parkingu panował piwniczny półmrok. Oszołomiony gwałtownością ostatnich minut i obolały od nadwyrężania schorowanego ciała, w pierwszej chwili ich nie zauważył. Rozglądał się niepewnie, gdy nagle z ciemności wyskoczyło na niego coś dużego i z impetem uderzyło w prawe udo. Zdołał zaprzeć się lewą nogą i wyciągnął prawą rękę.

– Lala!

Przywarła do niego. Poczochrał ją za uchem, a ona polizała go po dłoni. Przykucnął i objął sukę za szyję. Skuczwała cicho, opowiadając mu w skrócie ostatnie dwa tygodnie, a on gładził jej nieźle już zagojony prawy bok. Oboje dyszeli.

Musiał jednak szybko z powrotem stanąć na nogi, ponieważ z okien szpitala zaczęły dochodzić krzyki i sygnały alarmowe. Awantura z wyścigiem, pożarem i ucieczką hulała na wyższych piętrach. Trzeba było się spieszyć. Z mroku parkingu wynurzyła się kolejna postać. Kobieta miała latynoskie rysy, czarne włosy związane gumką w gruby kucyk i duże, błyszczące oczy. Do tego zielony pulower, obciste dzinsy i kamienna twarz. Na wyciągniętej dłoni leżały kluczyki od samochodu. Z trudem wytrzymawał jej wzrok. Kiedy widzieli się poprzednim razem, błagała go, by ratował jej męża.

Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Trochę się chwiały, twarz Dominiki nawet nie drgnęła.

– Dasz radę?

Skinął głową.

– Nie wracaj bez niego.

Znowu skinął.

– Albo cię zabiję.

Mogła tego nie dodawać. Skinął trzykrotnie jak karcony uczeń. Wziął kluczyki i ruszył w stronę brązowej kii ceed z zachęcająco otwartymi drzwiami. Rzucił plecak na tylne siedzenie, ale nie zdążył wsiąść. Coś mocno otarło się o jego nogawkę i wylądowało w kabinie samochodu. Pokręcił głową.

– Mm, mm.

Pokazał palcem na płytę parkingu. Lala ani drgnęła. Siedziała na fotelu pasażera i nieruchomo patrzyła przed siebie. Z daleka dobiegło wycie syreny wozu strażackiego wezwanego do pożaru na oddziale rehabilitacyjnym Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku. Nie było czasu na zabawy. Złapał sukę za obrozę i próbował wyciągnąć z auta. Warknęła ostrzegawczo.

– Lala, chodź – rozkazała półgłosem kobieta w zielonym swetrze, jednak pies ani drgnął.

Drzwi tylnego wyjścia otwarły się i w progu stanął stróż. Coś wołał. Jeszcze minuta zwłoki i Krzycki nie wyjedzie przez zablokowaną bramę. Wsiadł i uruchomił silnik.

– Jedziesz na własną odpowiedzialność – mruknął półgłosem.

Lala odwróciła ku niemu łeb i głośno mlasnęła. To mogło znaczyć „okej”. Więcej do tematu nie wracali.

Wyjechali w ciemność, która na Pomorzu zapada niespiesznie i przez długie godziny smuży jeszcze tu i ówdzie niepewną szarością. Samochody na sygnale nadjeżdżały od centrum, więc skręcili w lewo i boczną drogą przez zagajnik wydostali się za miasto. Wśród pól poczuli się pewniej. Za nimi miasto oddalało się ze swoją elektryczną nerwowością, przed nimi rozpościerały się pola i łąki z konstelacją czerwonych lamp zdobiących gondole turbin wiatrowych. Andrzej spojrzął w boczne lustro. Nikt ich nie ścigał. Wziął głęboki wdech i pomasaował dłonią kark. Cała ta groteska, udawanie i ludzka nędza zostawały za plecami jak zbędny balast. Rozwłócone po drodze powoli ginęły pochłaniane przez wszechobecną czernią. Mógł działać bez skrępowania i po swojemu. Nareszcie sam. Spojrzął w prawo i pogładził Lalę po karku. No, prawie sam.

Wjeżdżali w ciemność. Kryminał mógł się zacząć.

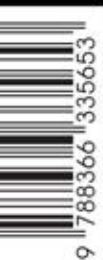
Inspektor Andrzej Krzycki leży w szpitalu. Ledwie uszedł z życiem po zatruciu cyjanowodorem. Nie mówi i nie chodzi. W zasięgu wzroku nie ma nikogo, komu mógłby zaufać. Jego przyjaciel, podkomisarz Lucjan Bałyś, został porwany, a zdradzona żona wróciła do Krakowa. Miejscowa policja ma za dużo własnych problemów, by go wesprzeć. Sytuacja nie wygląda najlepiej, a właściwie – w ogóle nie wygląda.

Krzycki ucieka ze szpitala. Brnie przez pomorską ciemność tropem zaginionego przyjaciela, czując na karku oddech prześladowców. Po piętach depczą mu i policjanci, i lokalni mafiosi... z Dudasem na czele.

Za całe wsparcie służy mu suka Lala. Jest ścigającym i ściganym. Piekelną drogę oświetlają pulsujące czerwone światła turbin wiatrowych w akompaniamencie przeraźliwego psiego skowytu.



Pierwszy tom
„trylogii pomorskiej”



9 788366 1335653

www.morginesy.com.pl

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

PORTAL
KRYMINALNY

POCISK

lubimyczytać.pl



w sprzedaży także



naszemiasto.

cityboard
media

HELIOS